Dodatek do „Gazety Narodowej"

z dnia 9. Lipca 1899.

O karach w wychowaniu.

Do rzędu najpiękniejszych zalet wychowawcy należy bezsprzecznie obok miłości sprawiedliwość, z jaką postępuje względem swoich wychowanków. Miłość wrodzona sercu rodziców otacza dzieci czułością i staraniem; uczucie to w stosunku nauczycieli do swych uczniów jest największą i najsilniejszą pomocą w ich pracy i zdawałoby się mogło, że ta jedna cnota powinnaby wystarczyć na cały przeciąg wychowania i przynieść najlepsze owoce. A jednak mimo tylu kochających serc macierzyńskich, mimo tylu najserdeczniejszem uczuciem życzliwości przejętych wychowawców, ileż popełnia się błędów w wychowaniu? Ileż razy właśnie ta miłość wychowawcy jest powodem błędów, choćby dlatego, że... trudno nam odróżnić miłość własną — od miłości dla powierzonych sobie wychowanków.

Dlatego to w wychowaniu nad wszystkiem czuwać powinna sprawiedliwość, która rozważy każdą sprawę i obróci ją dla rzetelnego dobra wychowanków.

A już jeśli sprawiedliwość ma czuwać nad wychowaniem całem, to przedewszystkiem stać ona powinna na straży w tych wszystkich momentach, w których najłatwiej można niesprawiedliwość popełnić, a mianowicie w osądzaniu przewinień wychowanka i w wymiarze kar.

W prawach i ustawach państwa, które są przeznaczone dla odpowiedzialnych dla siebie obywateli kraju, przewidziany jest cały szereg przewinień i ustanowiony cały odpowiedni szereg kar, które w miarę łagodzących lub obciążających okoliczności mogą uledz zmianie.

W wychowaniu nie mamy kodeksów takich. Tutaj sprawa sądzenia wychowanka pozostawiona jest indywidualnemu zapatrywaniu się wychowawcy. A ten wychowawca to nie martwa księga ustaw, to człowiek, który daje się unieść gniewowi i współczuciu, człowiek, na którego ma wpływ wszystko, co go otacza, zacząwszy od jego własnych nerwów aż do pogodnego lub zachmurzonego nieba.

To też nie dziw, że w takich warunkach wychowawca, który nie ma przed oczyma wyraźnie postawionej idei sprawiedliwości, ale idzie za popędem pierwszego wrażenia, w osądzaniu przewinień wychowanka i wymierzaniu kar za nie błądzi często, sam nie wiedząc o tem.

Czy w wychowaniu potrzebne są kary? Niestety — tak — jeśli wychowanie nie ma być schlebianie przeróżnym wadom dziecka. Kary są konieczne, idzie o to tylko, żeby były stosowane sprawiedliwie i tam, gdzie zachodzi rzeczywista potrzeba.

Jakto — zapyta może niejedna z matek — czyż to możliwe, aby ktoś karał tam, gdzie kary nie trzeba? Gdy dziecko zawini dostaje karę, gdy nie zawini, nie jest karane i koniec.

Tak, to by było bardzo ładnie, tylko, że niestety praktyka dostarcza innych przykładów; nieraz dziecko zawini, a ukaranem nie jest, podczas gdy przeciwnie niewinne jest ukarane.

Jestże to możliwe? w jaki sposób? W bardzo prosty, że do win dziecka zalicza się to, co nie wypływa z jego złej woli, z rozmysłu, ale nieraz ma źródło w dziecięcej niewinnej żywości, w nieuwadze wiekowi właściwej, a zresztą i to bardzo często w postępowaniu samego wychowawcy.

Staś potrącił stół, przy którym pisała Maryla swoje zadanie egzaminowe. Maryla zrobiła kleksa, więc w płacz i do mamy: „Staś trącił, to przez Stasia, Staś winien". Maryla, mamine „oczko w głowie" zalewa się tak rzewnemi łzami, że mama rozżalona na Stasia na równi z córeczką, nie czeka, co ten Staś powie, ale w wychowawczym zapale stawia go do kąta, aby go nauczyć, jak się ma zachowywać na drugi raz. A tymczasem Staś zapytuje sam siebie, za co on właściwie teraz stoi „na pokucie" kiedy przed kwadransem tak samo trącał stołem, bawiąc się kostkami, podczas gdy Maryla tak samo pisała.

Ojciec wrócił zirytowany i chmurny do domu. Zwykle przed kolacyą pokazywał Zosi obrazki ze swojej dużej książki, więc i teraz Zosia ze zwykłą prośbą do ojca przystąpiła.

Ojciec milczy, bo rozdrażniony, Zosia prosi raz i drugi, aż wreszcze jako „nudnego bębna" wyrzuca się ją z pokoju i za karę, że tatkę nudziła, osobno dostanie kolacyę. I znowu Zosia, jeśli myśleć umie, dziwi się, dlaczego ją spotkało takie nieszczęście, przecież wczoraj było tak samo i skończyło się piękną książeczką, a dzisiaj pokutą.

Przykładów takich, gdzie dziecko spotyka kara za niewinny zupełnie postępek, który w zmienionych warunkach zupełnieby przeszedł niepostrzeżenie, naliczyć można wiele.

Drugą złą stroną kary w wychowaniu jest to, że nie zawsze jest ona nawet tam, gdzie jej rzeczywiście potrzeba, sprawiedliwą, to jest taką, na jaką w danej chwili wychowanek zasługuje.

Wychowanie jeśli ma być dobre, musi być naprzód obmyślane z możliwemi szczegółami. Pojedyncze fakty w wychowaniu zachodzące, powinny się spajać jedną myślą, mającą na oku całość wychowania i jego cel. Jeśli gdzie, to w wychowaniu nic „luzem" iść nie może. I nie mogą też iść kary! Kara ma być konsenkwentnem następstwem winy. Tam, gdzie kara naturalna przychodzi w pomoc, tam jest najlepiej i najłatwiej, gdyż tu już wychowawca nie potrzebuje się wysilać na jej obmyślanie. Trudniejszą natomiast jest sprawa, gdy wina dziecka nie sprowadza za sobą kary naturalnej i trzeba ją zastąpić sztuczną.

W obmyślaniu tych kar sztucznych błądzą wychowawcy, wymierzając karę już to nieproporcyonalnie ostrą, już to znowu za łagodną. Karę stosownie do przewinienia stopniować należy. Tymczasem jakże się dzieje w naszem wychowaniu? Jak mało się zważa na stosunek winy do kary, jak skwapliwie i ostro stosujemy karę tam, gdzieby napomnienie za jakiś lekkomyślny wybryk wystarczyło, jak rzadko, gdy się wymierza ostrą karę za jakąś psotę dziecinną, myśli się o tem, jakiejby trzeba użyć kary, gdy to dziecko popełniło rzeczywiście coś złego, gdyby skłamało, gdyby drugiemu coś pokryjomu wzięło? Co wtedy? Wtedy, gdy dziecko skłamie, lub coś innego rzeczywiście złego popełni, wtedy należy mu się bezsprzecznie kara wyższa, niż za jakiś tam dziecinny figiel, a skądże jej wziąć, kiedy już tak wyczerpaliśmy repertuar naszych kar, że wyższej znaleść nie można.

I wtedy ten sam wychowawca, który za dziecinne figle, przeszkadzające mu w czemkolwiek, ukarał wychowanka ostro, wobec kłamstwa lub czegoś podobnego na perswazye, że tak się robić nie godzi, że to brzydko, że na drugi raz itd. A tych razów mogło być przedtem już wiele!

Jak na tem tle kształtuje się charakter dziecka? Jak urabia się jego przekonanie o tem, co złe, a co dobre, jeśli zechce sądzić po tem, kiedy i za co go karzą?

I nie dziw też, jeśli u dzieci spotyka się prawdziwie złe wady i narowy, popęd do kłamstwa, pyszałkowatość itd. itd., obok bardzo układnej minki i całego „savoir vivre'u" dziecinnego. Nie dziw, gdyż to dziecko za wykroczenie błahe bywało karane, natomiast kłamstwo lub inne podobne wady kończyły się dla niego perswazyą lub łagodnem upomnieniem.

Następstwem takiego wychowania bez przewodniej, głębokiej idei sprawiedliwości, będą charaktery słabe, niepewne i chwiejne, nie mające jasnego pojęcia o tem, co złe a co godziwe, które w życiu kierować się będą zasadą: „to dobre, co mi dogadza, to złe, co mi w poprzek staje", bez względu na to, czem to jest w istocie.

Na postępowanie w sprawach wychowania w każdym poszczególnym wypadku, nie może być jednej ogólnej recepty, gdyż postępowanie to ma się stosować do natury i usposobienia wychowanka.

Co do kar jednakże i ich wymierzania ogólnie i bezwzględnie powiedzieć można, że karać tam tylko można i trzeba, gdzie napomnienia i nagany nie skutkują, lub też, gdzie nie czas na napomnienia i nagany, gdyż przewinienie wychowanka jest tego rodzaju, że domaga się natychmiastowej kary — dalej, że karać tam tylko można, gdzie rzeczywiście jest wina, a wreszcie, że kara ma odpowiadać wysokości przewinienia i zawsze powinna mieć na celu wyrobienie w dziecku przekonania o tem, co dobre, a co złe, co gorsze, a co najgorsze, c ego unikać należy — nie zaś dogodzenia chwilowemu usposobieniu wychowawcy.

Wydziedziczeni.

Pod powyższym tytułem wydrukował w warszawskim *Wieku* szereg artykułów ks. L. J. Autor pod miano „wydziedziczonych" podciąga najniższe klasy pracujące, owe kariatydy społeczne, na których barkach wsparta cywilizacya odbywa delikatniejsze ćwiczenia postępu. Do wydziedziczonych zalicza ks. L. S. przedewszystkiem: stróżów, robotników, sługi i terminatorów, wytykając upośledzenie tych klas zarówno pod względem materyalnym, jak i moralnym. Niedolę i nędzę tych klas widzi z nas mniej więcej każdy, lecz albo nie chce, albo niema sposobności jej zgłębiać. Któż to jest ten, tak zwany „stróż"? Wszakżeż to człowiek, na którym, jeśli dobrze i sumiennie spełnia swą służbę, polega czystość, porządek i bezpieczeństwo domu obsługiwanego. A pożyteczny ten czynnik w ekonomii miejskiej, żyjeż on jak człowiek? Mieszka z rodziną (nieżonatych jest bardzo wielu a być niepowinno) zazwyczaj w jednej izdebce, i to najczęściej w dziurze do wynajmu niepodatnej, a praca jego odbywa się w warunkach wyniszczających organizm. Kurz, błoto uliczne i podwórzowe, miazmaty wydzielające się ze śmieci i odpadków — oto pierwiastki, któremi oddycha: żar, mróz, czy ulewa, on większą część dnia przepędza pod gołem niebem.

Człowiek ten, niema jednak i nocy spokojnej: co chwila, gdy, po zgaszeniu świateł na schodach, ułoży się do snu nierozebrany, budzi go dzwonek zapóźnionych lokatorów, a o godz. 6 rano już jest na posterunku I jakież jego za to wszystko wynagrodzenie? Kilka zł. miesięcznie. Przypuśćmy, że wynagrodzenie to wzrasta, dzięki napiwkom nocnym, które on zdrowiem i życiem nieraz przypłaca, ale czemże żywi się ten człowiek z rodziną, przy wzrastającej drożyźnie miejskiej, na jaki go stać przyodziewek dla żony i dzieci, jaka jego teraźniejszość, jaka przyszłość jego i rodziny?

Ale nie koniec na tem. Jakkolwiek zaprzężony do pracy, która jest robotą zwierzęcia lub machiny, ów stróż nie przestaje być człowiekiem, z duszą nieśmiertelną, odpowiedzialnym za obowiązki człowieka. A kiedyż ma on czas, ma możność i sposobność zastanowić się nad temi obowiązkami, za które odpowiedzialność czeka go aż poza grobem? I oto nad czem mocno ubolewa kapłan

Tak żyje stróż domowy, a jednak, jeśli tylko stan materyalny mieć będziemy na względzie, życie jego lepsze od położenia robotników. Nie myślimy tu o robotnikach, stale pracujących w fabrykach: ci — jak na ten ziemski padół płaczu — jeszcze się uważać mogą za uprzywilejowanych; ale słusznie autor zwraca uwagę na tę czerń robotników przygodnych, właściwie wyrobników, którzy, podobni ptakom odlotnym, razem z niemi pojawią się w mieście i prawie razem z niemi gdzieś się rozpierzchają, z zazdrością, zapewne, oh! aż serce się krwawi przy tych słowach — spoglądając w okna tych, którzy, przy nadciągających słotach i chłodach, mają światło w domu, w duszy spokój o jutro. Ludzie ci właściwie nie są uzdolnieni do niczego szczególniej, — biedacy, nie mieli sposobności niczego się nauczyć, chwytają się też każdej roboty grubej, bezmyślnej, jaka wpadnie pod rękę, wykonywują licho, licho też płatni, z biedą przepędzają lato; ale jaka jest dola ich w zimie?

Nawet ten nędzarz, stróż domowy, jeszcze wobec takiego wyrobnika czuje się panem, on ma dach nad głową, stały grosz w ręku, kożuch na grzbiecie; nie potrzebuje szukać noclegu w przytułku, albo w opuszczonej cegielni, wojując z psem o miejsce. A przecież i ci ludzie mają rodziny, jak oni je żywią, jak wychowują potomstwo, na co? Tysiące nasuwa się pytań, a jedno boleśniejsze od drugiego.

Powszechnie znany jest komunał, że nędza bywa złym doradcą. I rzeczywiście, jeżeli występek pośród ludzi zjawia się nawet przy dostatku i na drodze gładkiej, to jakżeż trzeba być opancerzonym, aby mu nie dać się opanować przy cierpieniu i nędzy? Czyż nasz egoizm nie rozumie tego, że wydziedziczeni, z największym tylko wysiłkiem i ślizgając się nieustannie, chodzić mogą po drodze, która dla nas jest wyasfaltowaną i opatrzoną w poręcze? My patrzymy tylko na skutki i te nas częstokroć oburzają. Ze wstrętem spoglądamy na sznury bezimiennych dziewcząt ciągnące o zmroku po ludniejszych ulicach, na wyrostków dobierających się do cudzych kieszeni lub zamków; oburzamy się na skutki, nie namyślając się ani chwili nad przyczynami. Jeżeli dziś człowiek uposażony w kilka tysięcy rocznego dochodu, kurczy się i narzeka, gdy ma do wychowania jakie czworo dzieci; zastanówmy się tylko jak ma je—nie powiem wychować, bo o tem i mowy być nie może—ale wprost wyżywić, przy życiu utrzymać, bezradny, bezdomny, bezmyślny wyrobnik.

Rzeczy to godne nie tylko zastanowienia się, ale i popracowania nad niemi. Filantropia jest tu potrzebna ale uzupełniona pewnym kierunkiem, tak, ażeby ekonomia polityczna, dotychczas jej niechętna, nie miała prawa i powodu przebąkiwać, że filantropia jest nieprzyjaciółką ekonomii Byłoby tak.

19

JAN-LA-MICHE

przez S. Bobée.

(Ciąg dalszy).

Najmniej baczny obserwator byłby w nim rozpoznał włóczęgę najgorszego gatunku. Miał około lat trzydziestu, ramiona wysoko podniesione, nogi kabłąkowate, ogromne ręce z wielkim palcem ohydnego kształtu — straszna oznaka! — długą twarz, bladą zwykle, ze śladami pijaństwa, oczy blade, zagasłe i złowrogie; w dodatku człowiek ten miał na sobie kurtkę z grubego materyału, dolne ubranie poszarpane i czapkę jedwabną wysmoloną, przypłaszczoną na czole bezwstydnem.

— O la, la! — rzekł głosem ochrypłym z pijaństwa — czy można przejść nie powiedziawszy dzień dobry staremu koledze... Nie zawsze byłaś taka wyniosła ze mną, piękna złotowłosa!

— Ustąp, nędzniku! — odpowiedziała młoda dziewczyna zgorszona — wiem, że byłeś na tyle podłym, iż dałeś do zrozumienia, że byłam twoją kochanką.. lecz nikt ci nie uwierzył. Czy można czuć dla ciebie co innego nad wzgardę i obrzydzenie!

— Dosyć!... Nie gniewajmy się... Wiesz kto jestem... Oskar Filoche, zwany Fenomen, nie mam stanowiska, ale staram się o nie.. a tymczasem bawię się... Mam stosunki rodzinne, moja siestra tańczy w Porte-Saint-Martin i jest na ty z całym wielkim światem... Ona wspomaga brata... Słuchaj jak dzwoni w mojej kieszeni! No, moja Maryniu, czy naprawdę nie chcesz wypić ze mną szklanki wina?

— Boże mój, puść mnie, albo zawołam pierwszego lepszego przechodnia na pomoc!

— Tu nie ma przechodniów, a wreszcie, potrafię ich się pozbyć i dlatego... A ten zkąd się tu wziął?

Te słowa odnosiły się do Jakóba Brizard, który jak z ziemi wyrósł obok pijaka.

— Hejże, młody człowieku! — odezwał się Jakób z zupełnym spokojem, czy to godne mężczyzny, ubliżać kobiecie?

— Idź swoją drogą, profesorze, albo pożałujesz! — rzekł pijak.

— Oho! mój chłopcze — mówił Jakób, ciągle spokojny — skóra cię świerzbi jak widzę?

Pijak, zataczając się, zrobił kilka kroków w tył, wyciągnął z kieszeni długi nóż katalońsk, otworzył go i stanął w pozycyi obronnej

— Niech się pan strzeże! — krzyknęła Marya przerażona.

Jakób wzruszył ramionami i jednym uderzeniem laski wytrącił nóż z ręki Fenomena; następnie nachylił się, podniósł narzędzie mordercze, złamał je na bruku, potem włożył laskę w zęby, a schwyciwszy pijaka za kark i pod plecy, uniósł go w górę i cisnął nim na kupę śmieci, przy samym progu szynku.

Wszystko to wykonane zostało z taką swobodą i łatwością, iż wzbudziło uwielbienie kilku gości z handlu ściągniętych hałasem sprzeczki.

Fenomen zaś, po próżnych usiłowaniach podniesienia się, począł jęczeć żałośnie.

— Niegodziwiec! korzysta z siły i maltretuje biednego chłopca bezbronnego...

Jakób Brizard zbliżył się do Maryi Lenoir.

— Pani — rzekł — niebezpiecznie jest na ulicy tak rano, widzę niedaleko znów kilku ludzi niedobrej powierzchowności. Pozwoli pani podać sobie rękę i odprowadzić się do domu?

— Wdzięczna panu jestem z całego serca za jego szlachetną pomoc — odpowiedziała młoda dziewczyna — ale blizko mam do siebie i mogę sama powrócić...

— Niech pani pozwoli — podjął Jakób — muszę koniecznie z panią mówić...

— Lecz, proszę pana...

— Oh! słowo honoru, nie chcę wcale opowiadać żadnych niedorzeczności i niezdolny jestem ani słowem jednem obrazić pani... Słyszałem wypadkiem rozmowę pani z matką Fricoteau, sprzedającą kartofle smażone; wiem, że pani cierpi, że pani jest nieszczęśliwą, że nie ma możności pielęgnowania matki, tak jak tego jej zdrowie wymaga... widocznem jest także, że pani i jej matka jesteście zacne, a tylko padłyście ofiarą jakiejś fatalności!

— Boże mój, panie...

— Niech pani pozwoli skończyć, na miłość Boską! Jestem bajecznie bogaty, wstydzę się trochę tego, i wdzięczny jestem nieskończenie, jak mi kto pozwoli użyć odpowiednio mojego majątku: proszę panią, błagam jak o łaskę, pozwól pomódz sobie, pozwól ulżyć w kłopotach...

— Panie — odpowiedziała młoda dziewczyna, z gorącym rumieńcem na ślicznej twarzyczce — moja matka i ja, ani prosimy, ani nie przyjmujemy jałmużny. Wyznam jednak, że zajęcie przy składaniu dzienników nie wystarcza na życie i na pielęgnowanie zdrowia mojej matki. Byłabym zatem bardzo szczęśliwa, gdybym z łaski pana protekcyi mogła otrzymać robotę korzystniejszą.

— Oddaję się cały na pani rozkazy. Co pani chce robić, jakie jest pani ulubione zajęcie?...

— Mówiono mi, proszę pana, że mam niejakie zdolności do malarstwa, a głównie do akwareli: handlarze obrazów, którym pokazywałam moje roboty, chwalili je bardzo, lecz nie chcieli wziąć, mówiąc, że to nie jest pokupne... Radzili, żebym się zwróciła do amatorów.

— Na Boga, nie mogła pani lepiej trafić — zawołał Jakób Brizard. — Przepadam za akwarelą: ma w sobie coś tak świeżego, delikatnego, że nie powiem idealnego, co zachwyca mnie nad wyraz... Pragnę posiadać zbiór pięknych akwareli i w tej chwili zamawiam u pani, co tylko masz i zrobisz.. Czy pani także ma talent twórczy?

— Zdaje mi się, próbowałam już..

— Otóż pragnąłbym ilustracyj akwarelą do wspaniałego wydania Bajek Lafontaine'a... to pani sławę przyniesie... i dobrobyt jednocześnie.. Cóż pani na to?

— Że nie wiem nawet jak panu podziękować...

— Niech pani zatem nie dziękuje, to ułatwi sprawę. A teraz, jak się ułożymy: czy pani przyjdzie do mnie, czy ja mam przyjść do pani?

Marya Lenoir zastanowiła się chwilę.

— Nie wstydzę się naszego ubogiego mieszkania, lecz moja matka chora, nerwowa mogłaby na panu przykre wrażenie uczynić. Jeżeli pan pozwoli, przyjdę do niego i przyniosę kilka moich robót.

— Jak tylko się pani podoba. Oto mój adres: Jakób Brizard, ulica de Trévise nr.*** Jestem w domu co dzień od drugiej do szóstej godziny.

— Dziękuję panu i do widzenia; jestem już przed moim domem i wolę, żeby nas razem nie widziano. Złych języków u nas pełno, a ja posiadam tylko moją dobrą sławę i pragnę ją zachować.

— Za pozwoleniem, słówko jeszcze: miałem dużo stosunków z artystami w kraju i za granicą i wiem jaki jest u nich zwyczaj. Kiedy się robi zamówienie, daje się a conto: to jest stały obyczaj, to też pozwól pani...

— Ależ panie, nie mogę przyjąć, pan nie wie czy odpowiem słusznym jego wymaganiom...

(C. d. n.)

gdyby filantropia poprzestała na samej, nieracyonalnej jałmużnie. Lecz ma ona zakres donioślejszy, jeżeli ofiary swoje zwróci ku środkom raczej profilaktycznym. Mnoży ona szpitale, przytułki noclegowe i tym podobne schroniska nędzy. Nic piękniejszego. Dopóki nędza istnieje i rozradza się i nikomu nie wolno chwytać za rękę wyrywającą się z miłosierdziem w imię Chrystusa. Ależ właśnie zadaniem dobrze urządzonego społeczeństwa nie jest mnożenie i zbogacanie podobnych schronisk, lecz przeciwnie dbałość, ażeby, potrzeba ich było w kraju jaknajmniej.

Nie zaniedbując środków, niosących ulgę rozpaczliwej nędzy, powinna ona ofiarność swą najchętniej zwracać tam, gdzie odbywają się usiłowania i podejmują pracę nad zabiciem nędzy u źródła, nad wyniszczeniem jej bakteryj. Im kraj mniej produkować będzie rachityków, skrofulityków, a w następstwie suchotników i paralityków; im mniej mnożyć się będzie osobników ciemnych, bezmyślnych i bezradnych, usposobionych do niczego, albo jak kto chce, do wszystkiego, a w pierwszym rzędzie do występku, tem mniej potrzebnemi staną się fundusze marnowane dziś na podtrzymywanie nędzy już rozwiniętej w coraz się rozszerzającem kole „wydziedziczonych".

Należałoby młode pokolenie otoczyć tedy gorliwie miłością i ofiarnością tak, ażeby im dać: zdrowie, wiedzę i samopomoc. Jak tego dopiąć! Ah! pytanie to wymaga wielogłowego namysłu i wieloustnej odpowiedzi, która jednak, przy dobrych chęciach i energii nie zastygłaby w powietrzu, dowodem to, co w tym kierunku wykonywa się dotąd, ale w rozproszeniu i na własną rękę. Trzeba iść dalej i sięgnąć głębiej. Ogół nie powinien dopuszczać żeby myśl tłumów, zwłaszcza „wydziedziczonych", błąkała się samopas, często po manowcach przeciwspołecznych, a jednostki od pierwiastków życia oddawały się próżnowaniu, bo niema rzeczy zgubniejszych dla istoty ludzkiej, jak te dwie: brak zajęcia i brak moralnego wędzidła. Bezpieczeństwo ogółu polega na tem, aby tych dwóch braków nigdy w biegu życia społecznego nie było, tem bardziej, aby mowy do nich nie były zaprawiane przez jakiś nieprawidłowy zbieg okoliczności.

Przeciw wywozowi dziewcząt.

Świeżo skończył swoje obrady w Londynie międzynarodowy kongres, zwołany w sprawie zapobieżenia wywozowi dziewcząt z Europy do zamorskich i wschodnich lupanarów. Kongres ten zainicyowało londyńskie stowarzyszenie „National Vigilance Association".

Towarzystwo to wysłało w podróż po Europie swego agenta p. Coote, który objechał niemal wszystkie państwa na kontynencie, porozumiewając się wszędzie z odnośnemi stowarzyszeniami. Oprócz członków wyżej wspomnianego towarzystwa, w kongresie udział wzięli przedstawiciele wszystkich prawie państw europejskich, oraz Stany Zjednoczone Ameryki Północnej.

Kongres nie miał wcale charakteru urzędowego. Nawet rząd angielski, mimo najsilniejszego poparcia, przyrzeczonego ze swej strony, oficyalnie nie brał udziału w obradach, uwalniając tym sposobem obradujących od krępującej i utrudzającej etykiety.

Przedstawicielkami Austryi były: br. Langenau i panna Baille, Niemcy reprezentował hr. Bernstorff i pastor Burckhardt, Francyę senator R. Bérenger, Rosyę ks. Sergiusz Wołkoński, oraz senator i sekretarz stanu Saburow. Nie brakowało również przedstawicieli innych państw.

Ks. Westminster, kardynał Vaughan, hr. Bernstorff i lord Aberdeen kolejno przewodniczyli obradom, rozpatrując przedstawione przez delegatów referaty o handlu i środkach zapobiegawczych mu, używanych przez odnośne kraje, oraz obradując na sposobami, któreby się w stosunkach międzynarodowych dały zastosować, jako skutecznie przeciwdziałające wstrętnemu przemysłowi.

W ostatnim dniu kongresu uchwalono następujące rezolucye:

Celem zwalczania handlu białemi niewolnicami, w każdym kraju ma być urządzony narodowy komitet, a wszystkie komitety razem tworzą kongres. Komitety już istniejące i reprezentowane na obecnym kongresie są komitetami dla własnych krajów. W tych krajach, w których dotąd nie ma komitetów, należy je utworzyć. Jest to obowiązkiem biura kongresu.

Kongres ustanawia międzynarodowy komitet, w skład którego wchodzi po dwóch delegatów każdego komitetu narodowego. Biuro kongresu tworzy właśnie owych dwóch przedstawicieli Anglii, oraz trzy osoby, wyznaczone przez „National Vigilance Association."

Każdy komitet narodowy może mianować delegata, przebywającego w Londynie, któryby brał udział w obradach biura.

Każde zgromadzenie kongresu oznacza czas i miejsce następnego zjazdu, lecz komitet międzynarodowy w razie potrzeby może zmienić zarówno czas, jak i miejsce. Biuro utrzymuje stosunki z komitetami narodowemi za pomocą stałej peryodycznej korespondencyi.

Życzeniem kongresu jest:

A) aby rządy, po wzajemnem porozumieniu się, postanowiły: 1) karać, o ile można, w równej mierze dostarczanie kobiet i dziewcząt do celów rozpusty przez gwałt, podstęp, nadużycie władzy lub inny sposób przymusu 2) dochodzić zbrodni równocześnie wszędzie, gdzie się zdarzyły fakty jej dowodzące 3) wyznaczyć właściwe miejsce prowadzenia procesu 4) postarać się o międzynarodowe traktaty co do wydawania oskarzonych.

B) aby zawarto stałą i ścisłą ugodę ze stowarzyszeniami dobroczynnemi we wszystkich krajach w celu otrzymania od nich wiadomości o emigracyi kobiet w podejrzanych warunkach, a to w celu opiekowania się emigrantkami w miejscu ich pobytu,

C) aby sporządzono dokładną listę stowarzyszeń, podejmujących się i mogących spełniać te obowiązki.

Lista taka powinna być dostarczona wszystkim rządom państwowym i stowarzyszeniom.

Kongres zakończył obrady jednomyślnem przyjęciem tych rezolucyj, oraz podziękowaniem towarzystwu „National Vigilance Association" za inicyatywę.

Następny zjazd naznaczony jest do Berna szwajcarskiego.

Początek doniosłej organizacyi międzynarodowej jest tedy już zrobiony. Teraz trzeba, aby w każdym kraju rozwinęła się akcya miejscowa odpowiednio do ogólnej urządzona. Wskazówki postępowania są dane.

ROZMAITOŚCI.

Widowiska dla obłąkanych. W paryzkiej „Salpétrière" słynnym zakładzie dla obłąkanych, idyotycznych i histerycznych kobiet, odbył się przed kilku dniami koncert dwóch znakomitych śpiewaków, braci Lionnetów. Panowie ci podjęli się urządzania od czasu do czasu przedstawień dla obłąkanych, aby w mroki umysłowe biednych waryatek wprowadzić choć jeden promień artystycznych wzruszeń. Podobne eksperymenty urządzał już przed 20 laty ówczesny dyrektor instytutu p. Legrand de Saule, a koncerty takie powtarzały się później, w pewnych odstępach czasu. obłąkane kobiety przepadają za śpiewem. Czasem dozorcy wyzyskują to upodobanie, aby je skłonić do posłuszeństwa. „Jeżeli nie pójdziesz dobrowolnie pod tusz — mówią — to nie otrzymasz biletu na koncert".

Dziwny to jest widok podobno, taka sala koncertowa, z waryatkami w audytoryum, z śpiewakami na estradzie. Twarze obłąkanych słuchaczek nabierają niekiedy pod wpływem muzyki najstraszniejszego wyrazu. Oczy wychodzą na wierzch, rysy się wykrzywiają, usta stają otworem. A gdy śpiew milknie, rozlega się burza oklasków, tu i owdzie słychać krzyk dziki, a czasem śmiech i śmiech bez końca. Gdy tony muzyki płyną w łagodnym liryzmie, na twarzach maluje się słodycz i rozmarzenie. Najbestyalniejsze fizyognomie wyanielają się. Czuć, że w tych duszach biednych szczęście gości, chociaż na chwilę tylko. Na koncertach Salpétière'y występują także artyści dramatyczni i komicy. Poważna deklamacya nie wywiera żadnego wrażenia, ale komiczne monologi wita z zachwytem publiczność obłąkana. Szansonistki mają również ogromne powodzenie, a gdy swego czasu niejaki Polin odśpiewał kilka obozowych piosenek, audytoryum wyło z radości, a kilkanaście głosów zaczęło śpiewać marsyliankę.

Zaślubiny czarnogórskiego następcy tronu ks. Daniły, odbędą się 25 bm. w Cetynii. Dnia poprzedniego przybędzie narzeczona księcia ks. meklemburska ze swymi rodzicami do Baru, gdzie oczekiwać jej będą: ks. Mirko, ks. wojewoda Bożo i cała rodzina Petrowiczów, następnie cały orszak uda się do Cetynii. W Baru młoda księżniczka przejdzie na obrządek grecko-oryentalny i przyjmie imię Milicy. Na uroczystości ślubne przybędą: cztery wielcy książęta z Rosyi, członkowie domu Hohenzollernów, z Włoch następca tronu z małżonką, z Grecyi następca tronu Mikołaj i inni. Wszystkie państwa przyszlą swych przedstawicieli. Uroczystości weselne wedle starego serbskiego obyczaju potrwają trzy dni. Książę Mikołaj zaprosił na tę uroczystość 15.000 rodzin czarnogórskich Będą to zaślubiny, jakich mała Czarnogóra nigdy jeszcze nie widziała.

Arcybiskupstwo praskie wakuje obecnie po śmierci kardynała Schoenborna. W czasie tak zaciekłej walki narodowościowej, jakiej sceną są obecnie Czechy, obsadzenie stolicy arcybiskupiej jest sprawą polityczną wagi pierwszorzędnej. Czesi żądają, by przyszły książę arcypasterz koniecznie władał biegle językiem czeskim, Niemcy dają do zrozumienia, że mianowanie Niemca możnaby zażegnać ruch protestancki „Precz z Rzymem!" Arystokracya przypomina, że od trzech stuleci kandydatów na ową stolicę wybierano jedynie z jej szeregów. Arcybiskupstwo praskie liczy przeszło pół tysiąca lat istnienia; podniósł bowiem dyecezyę praską do godności archidyecezyi cesarz Karol IV w 1344. Arcybiskupi prascy noszą tytuł książąt. W pierwszej połowie bieżącego stulecia (1832) arcybiskupem praskim był Polak hr. Skarbek-Ankwicz. Kto wie, czy i obecnie nie zasiędzie na tej stolicy również Polak Adam hr. Potulicki, kanonik kapituły ołomunieckiej. Kandydatów odpowiednich jest bardzo wielu. OO. Jezuici hr. Nostitz i hr. Berchtold zamało podobno umieją po czesku. O. Karol Benedyktyn, (poprzednio rotmistrz książę Schönburg-Kartenstein) bardzo niechętnie opuściłby cele zakonną. Książę Karol zu Hohenlohe z Langenburga, kanonik ołomuniecki, był do niedawna pruskim poddanym, nie cieszyłby się zatem wziętością u czeskich owieczek. Przeciwnie inny kanonik ołomuniecki, baron Skibensky jako Czech rodowity, rozdrażniłby Niemców. Inni kandydaci na razie mają mało widoków powodzenia. Ks. Potulicki, jako Polak, a więc rozjemca między Czechami a Niemcami i jako arystokrata mógłby w chwili obecnej mieć szanse.

Na bezsenność. Jeden z lekarzy amerykańskich w San Francisco obmyślił dwa aparaty elektryczne do usuwania dręczącej chorych bezsenności. Pierwszy z nich urządzony jest w sposób następujący: dwa małe trójkątne zwierciadła, przed któremi pali się lampka elektryczna, kręcą się szybko na swoich osiach w przeciwne strony, jedno w prawą, drugie w lewą. Cierpiący na bezsenność, patrząc ciągle w owe zwierciadełka, zapada podobno w sen głęboki po 30—40 sekundach. Przyrząd drugi, również elektrycznością zasilany, przystawiony pod ucho, puszcza łagodny prąd elektryczny, który za pośrednictwem przewodnika metalowego działa tak na nerwy głowy, że w ciągu kilku sekund sprowadza uspokojenie, a zastępnie i sen mocny. wiadomości te podaje pismo *Vox urbis*, wychodzące w Rzymie w języku łacińskim.

Dwa okresy. Spostrzeżenie wzięte ze sztambucha niewiasty, która wiele widziała i doświadczyła w życiu: „Nie wiem, czy szczęście jest dostępne dla mężczyzny. To wiem, że nie jest ono dostępne dla kobiety. Ot np. pożycie małżeńskie kobiety składa się z dwóch okresów: pierwszy, gdy mąż spędza wieczory i noce w domu; drugi, gdy mąż z nadejściem wieczoru zaczyna znikać, jak kamfora. W pierwszym okresie żona żyje w ciągłym lęku, przeczuwając, iż okres drugi z konieczności nadejdzie; w drugim — w ciągłym żalu, że okres pierwszy minął bezpowrotnie. Szczęśliwą należy nazywać kobietą, której życie pozwala te dwa okresy wedle woli."